

# Recenzje płyty (progrock.org.pl)

## Charlestown by MANNING

Jedenasty studyjny album Guya Manninga brzmi z grubsza jak jego dziesięć poprzednich płyt. Żeby było jasne - to dobra wiadomość. Zawsze lubiłem modus operandi tego pana - jego muzyka lokuje się dokładnie na przecięciu dwóch stylów, które uwielbiam. Z jednej strony eklektyczny, barokowy wręcz neoprogres, z drugiej - klasyczny folkowy songwriting. Co najciekawsze - te dwa zdawać by się mogło odległe światy świetnie u Manninga współistnieją. Nie można zapomnieć o bogactwie instrumentów - zawsze kiedy włączam płytę Manninga wiem, że będzie dużo Mooga i saksofonu, a folkowe smaczki zapewnią skrzypce i flet. Tak też jest i tym razem. I tak jak zawsze Manning śpiewa tym swoim nosowym głosem, który nie wszyscy od razu polubią. Czyli nihil novi. Stary dobry Manning (a dla niektórych - stary kochany Manning). Zaskakujące, że Anglik używając po raz n-ty tych samych środków znowu przyrządził dobry album. I to w swoim normalnym zawrotnym tempie - rok bez kolejnej płyty Manninga jest rokiem straconym, a do tego Guy ma jeszcze sporo roboty jako jedyny stały obok Andy'ego Tillisona członek The Tangent. Ludzie sukcesu łączą talent z pracowitością.

Nie jest w twórczości Manninga nowością gargantuicznych rozmiarów suita - 35 minut z hakiem, dawniej nie zmieściłaby się na stronie winyla! Słucha się jej z przyjemnością, co przy tym czasie trwania nie jest regułą, ale też Guy nie stawia na techniczne hołubce, tylko na tworzenie klimatu - sielskiego, bajkowego, z lekką nutką melancholii. Nie będę ukrywał, że w kilku miejscach utwór grzeszy grą na czas, skrócenie go o kilka minut tylko uwypukliłoby jego atuty, a tych jest sporo - leitmotif grany unisono przez skrzypce i flet, porywające linie wokalne, ciekawy klawiszowy przerywnik ( w ogóle sporo miejsca dostali tu instrumentalisci, śpiew nie zdominował całości). Jako całość suita *Charlestown* jest udanym dziełem.

A jak już skończy się opus magnum albumu, dostajemy krótsze utwory w tym samym duchu. *Caliban And Ariel* to króciutka, refleksyjna piosenka składająca się z dwóch części - w pierwszej w podkładzie dominuje fortepian, w drugiej gitara klasyczna i bouzouki. Zastrzykiem energii jest *The Man In The Mirror* - z zadziornym Hammondem, żywo płasającym saksofonem i skrzypcami, które w pewnym momencie przejmują prowadzenie utworu i zamieniają go w regularny celtycki folk. Do tego chwytliwa melodia. Ten kawałek to Manning w pigułce! *Clocks* wyróżnia się ciekawymi harmoniami wokalnymi i delikatną partią fletu. W *T.I.C.* pojawiają się bardziej zdecydowane riffy, utwór sporo czerpie z blues rocka, oczywiście wzbogaconego o typowe dla Manninga instrumentarium. No i wreszcie *Finale* - szybki, mocno brzmiący instrumental, który dowodzi że Guy to

nie tylko słodkie melodyjki. Brzmi to trochę jak stary angielski heavy-prog z lat 70tych.

Nie spodziewam się, żeby Manning kiedykolwiek dokonał jakiejś zdecydowanej brzmieniowej volty, ale w sumie po co psuć coś, co działa? Radosne, pastelowe dźwięki którymi raczy nas regularnie mają swoich wiernych odbiorców. Niech dalej nagrywa kolejne przewidywalne albumy, jeśli tylko utrzyma ten poziom. Na minus zaliczam mu za to oprawę graficzną. Booklety jego poprzednich płyt były pełne bajkowych ilustracji, które cieszyły oko i świetnie uzupełniały klimat muzyki. Tym razem jest tylko tekst plus kilka zdjęć zespołu w akcji. Ale poligrafia nie zaważy na ocenie muzyki. Daję mocną czwórkę.

*Napisał Paweł Tryba, dzień 11/21/2010 o godz. 10:36*

---

**Musisz się zalogować aby móc dodawać recenzje.**